



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## WYCHOWANIE MORALNE.

Wychowanie moralne polega na kształceniu uczuć, woli i rozumu. Uczucia wynikają z okoliczności; zależne są wprawdzie od ustroju jednostki, lecz rozwijają się i przekształcają pod wpływem zewnętrznym. Jedno z zadań wychowania stanowi staranne pielęgnowanie uczuć etycznych. Przedewszystkiem należy baczną zwrócić uwagę na okoliczności powodujące rozwój ujemnych uczuć dziecka, a więc: obojętności względem otoczenia, chciwości, zazdrości, okrucieństwa, nienawiści, zemsty. Dzieci wrażliwe przejmują się zupełnie uczuciami otoczenia, dzieci nienormalnie obojętne, częstokroć mimo przewagi dobrego przykładu, skłaniają się raczej ku złemu, niż ku dobremu. Zupełna obojętność względem osób najbliższych łączy się z brakiem szczerości; dziecko tłumi w sobie wrażenia i uczucia z nich powstające. Usposobienie podobne w części bywa wrodzonym; rozwija się wszakże i przybiera niebezpieczne rozmiary wskutek niewłaściwego postępowaniu dorosłych. Dziecko powinno czuć, że dorośli zajmują się niem szczerze. Przesadne pieczyoty niezawsze przyciągną dziecko do wychowawców, lecz, przeciwnie często je oddalają, gdyż nudzą. Postępowanie jednostajnie zimne tylko obojętność wywołać może, groźne zaś, tyrańskie ma za skutek nienawiść, złość, pragnienie zemsty. Gorliwe zajęcie się wychowaniem, ogrzane miłością dla niego, uzewnętrznioną wprawdzie drobnymi oznakami, lecz nie mdłą i nienarzucającą się ustawicznie, samo jedno tylko może oddziaływać skutecznie na rozwój moralny dziecka. Wychowawiec szczerzy i kochający pozwoli łatwo wpłynąć na siebie.

Osamotnienie nie wpływa dobrze na dzieci: powinny one przebywać jaknajczęściej w towarzystwie rówieśników. Różnorodność usposobień i pożądań dzieci należących do jednego kółka, połączonych we wspólnym pragnieniu zabawy, musi z konieczności miarkować egoizm, skłaniając jednostki do ustępstw. Egoizm dziecka, żądający rozrywki, przekształca się w obcowaniu z innymi w altruizm.

Najwięcej zbliża wspólna praca: należy więc do niej zachęcać dźwiatwę. Jedno z najpożyteczniejszych zajęć dzieci stanowi ogrodnictwo, uczy bowiem łączyć się we wspólnej sprawie i przyzwyczajają do pracy produkcyjnej. Ziemia i narzędzia niech stanowią własność wszystkich dzieci. Nie należy zbyt wczesnie indywidualizować własności. Oddzielne szafki dla każdego z rodzeństwa wpływają ujemnie raczej, niż dodatnio. Lepiej daleko, jeśli zabawki i książki stanowią własność wspólną dzieci: usuwa to odrazu spory, poczynające się od „to moje“, a kończące się na wydzieraniu i bijatyce. Niech dzieci używają wyrazu „nasze“ częściej, niż „moje.“ Do zachowania porządku w rzeczach należących zbiorowo do dzieci winno się każde poczuwać; sztuczny środek utrzymywania dyżurów—bywa skutecznym. Pieniądzy nie należy dawać dziecku do ręki. Kupczenie rzeczami gotowemi tylko ujemnie na dzieci wpłynąć może.

Jedno z pism brukowych zaznaczyło jako przykład godny naśladowania postępowanie pewnych rodziców, którzy dzieciom swoim pozwolili na założenie sklepu dla włóścian. Nas to bynajmniej nie zachwyca. Handel jest zajęciem godnym szacunku, oile uczciwie jest prowadzony; jako dodatni czynnik wychowania moralnego uważany być jednak nie może. Gra o pieniądze ujeanie również oddziaływa; wszak wygrana jednego z dzieci stanowi przegrana drugiego: przyzwyczajają więc dziecko do oboję-

tności względem przykrości bliźniego, a nawet do radości ze strat poniesionych przez niego. Jeśli pragniemy przyzwyczaić dzieci do oszczędności, możemy to uczynić, nie rozwijając chciwości. — Przy wyznaczaniu pensyi na drobne wydatki należy baczycy, by była sprawiedliwą i nie wzbudzała zazdrości. Ścisła bezstronność to jedna z najważniejszych zalet wychowawcy. Błaha na pozór okoliczność może wpłynąć na rozwój moralny dziecka.

Poczucie sprawiedliwości względem samego siebie powstaje wcześniej, niż względem innych. Pragnąc, by tak ważny czynnik moralnego postępowania, jak poczucie sprawiedliwości, rozwinał się u dziecka, nie należy wzbudzać zazdrości i innych jej podobnych uczuć. Podział na dzieci kochane i niekochane, w wielu domach praktykowany, zgubny bywa w skutkach; aczkolwiek rodzice nie wypowiadają głośno swoich antypaty i sympaty, to dzieci jednakże instynktowo uczuwają stopień żywionej względem nich życzliwości i upatrują często niesprawiedliwość lub krzywdę tam nawet, gdzie jej nie było. Szczególnej pieczy pod względem moralnym potrzebują dzieci upośledzone, czy-to fizycznie, czy też umysłowo. Wszelka ułomność wywołuje niedowierzanie i zazdrość. Kulawy, garbaty, lub głupowaty wychowawiec staje się już wcześniej bardzo złośliwym, jeśli nie potrafimy zapobiedz złemu. Niezbędna jest jaknajściślejsza w każdym drobiazgu sprawiedliwość ze strony wychowawcy, troskliwość jaknajczulsza; należy jednak wystrzegać się przesady, zbyt wielka bowiem czułość może również wpłynąć ujemnie, upokarza albo też wywołuje próżność, stosownie do indywidualności. U rodzeństwa i innych dzieci z otoczenia kaleki należy jaknajwcześniej rozwinać współczucie względem cierpienia. Wszelki żart z kalectwa winni wychowawcy piętnować jako uczynek karygodny. Mimo usilnych starań głosy szydercze dojdą uszu nieszczęśliwego. Za-

daniem wychowawcy jest przeciwdziałanie im względnością i szczerą życzliwością.

Dzieci słabe fizycznie lub umysłowo należy natchnąć wiarą w siebie, w siły własne. Niech słabowity lub ograniczony czuje, że w pewnym zakresie, choćby szczupłym nawet, może coś zdziałać, czemkolwiek się odznaczyć. Ambicja stanowi ważny czynnik udoskonalenia się jednostki, brak jej zupełny w dziecku znamionuje niski poziom umysłowy lub słabość fizyczną. Rzecz to wychowania miarkować ambicją, nie pozwolić jej na przybranie rozmiarów chorobliwych. Kary wymierzane być winny w ten sposób, iżby nie urażały ambicji, nagradzać zaś potrzeby tak, aby nie rozbudzać próżności. Nierozsądny systemat karaniami i nagradzania staje się często przyczyną ujemnej uczuciowości wychowawca. Baczmy pilnie, aby kara nie wydawała uczniowi dowolną, spowodowaną chwilowym kaprysem wychowawcy lub, co gorzej, skutkiem osobistej niechęci względem niego, i aby go nazbyt nie upokarzała. Tylko kara *naturalna* czyni zadosyć tym wymaganiom. Co to jest kara *naturalna*? Jest to przykrość, która wynika bezpośrednio z postępowania ucznia.

Karzemy w sposób naturalny w następujących wypadkach: Dziecko 1) kłamało—nie wierzymy mu 2) przedłużyło zbytnio konną przejażdżkę—na drugi dzień zabraniamy jej z obawy opóźnienia lekcji, 3) popsuje zabawę lub sprzęt—nie kupujemy zaraz nowego, 4) napisało niedbale lekcję—musi ją przepisać raz jeszcze. Karzemy sztucznie, niewłaściwie, jeśli: 1) bijemy za kłamstwo, 2) stawiamy do kąta za przedłużoną przechadzkę, 3) łajemy tylko za zepsucie czegokolwiek, 4) karzemy aresztem za niedbalstwo w nauce.

Również i nagrody mogą być *sztuczne* i *naturalne*. Nagradzamy naturalnie: 1) jeśli dziecku, które zasługuje na nasze zaufanie, pozostawiamy większą swobodę w postępowaniu; 2) jeśli za uwagę i zajęcie się lekcją skracamy ją; 3) jeśli dziecko, które ma w poszanowaniu rzeczy własne, obdarzamy nowymi. Nagradzamy sztucznie, dając dzieciom za dobre sprawowanie zabawki lub łakocie. Kary i nagrody sztuczne mogą być stosowane wyłącznie w wychowaniu bardzo małych dzieci. Dwuletnie lub trzyletnie dziecię można karać za przewinienie lekkim uderzeniem, a nagrodzić cukierkiem. Uczucie bólu kojarzy się z danym niewłaściwym postępkem, a przyjemność z innym, właściwym.

(Dokończenie nastąpi).

## ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Niekiedy bywa, że ludzie pracujący umysłowo, nietylko czuwają długo w noc nad tą pracą swoją, ale rozbudzają sobie nerwy sztucznie, podniecając się czarną kawą, mocną herbata i tym podobnymi narkotykami. Ci, nietylko mogą zupełnie stracić sen, ale i zdrowie. Smiles przytacza, jako przykład, pewnego angielskiego architekta, który, pisząc w przedmiocie swoim dzieło obszerne i wymagające zwracania się do wielu innych pisarzy, spał mało i trzeźwił się czarną kawą. Po pewnym czasie dostał silnej gorączki reumatycznej, a następnie—cierpień w stawach rąk i nóg, tak, że musiał już w końcu dyktować żonie, nie mogąc utrzymać pióra w ręku.

Czarna kawa dobrze działa na limfatyków, ale jest niemal trucizną dla osób nerwowych: sprowadza rozstrój nerwowy i, podniecając, zmienia nawet kierunek myśli, oddziaływa na styl. Michelet wstawał do pisania o szóstej rano i pił najpierw czarną kawę, co powtarzało się kilkakrotnie w ciągu pracy, bo utrzymywał, że pod-

trzymuje go to i wzmacnia. Ale Emil Deschanel, autor dzieła: *Physiologie des Erivains et des Artistes*, przeczy temu i dowodzi, że kawa tylko go podniecała, rozdrażniając „popędzała“, a stan ten odbijał się na sposobie wyrażania myśli i pojmowania ich przedmiotu. — „Czuć to w jego stylu, pełnym błyskawic, ale też pełnym i gorączkowych rzutów“. Sam Michelet przyznawał, że ogromna konsumpcja kawy we Francji w XVIII wieku przyłożyła się wielce do gwałtownych wybuchów rewolucyjnego ducha. Ludzie nerwowi nie umieją być spokojnymi i umiarkowanymi. Działają często w podnieceniu, aby następnie wpadać w zniechęcenie, które jest skutkiem osłabienia i upadku energii fizycznej, co oddziaływa znowu na energią moralną.

Smiles daje za przykład młodego a już znakomitego lekarza francuzkiego, Klaudyusza Bardelieu, który, jakkolwiek znał wpływ kawy czarnej na organizm, pijał ją w ilościach nadmiernych, a gdy już doszedł w ten sposób do utraty snu, sprowadzał go sobie przez opium, co musiało podkopać organizm i dać mu rychłą śmierć, ze szkodą dla nauki, w której już uczony ów zaznaczał się świetnie. Nie umiał on być cierpliwym, przyspieszając gwałtownie działalność umysłu, która gdyby rozwijała się powolnie, prawidłowo, byłaby niewątpliwie dała rezultaty wyższe—zabił się!

Herbata wytrzeźwia, równie jak kawa, i jest może jeszcze szkodliwszem podbudzeniem działalności mózgu. Johnson pił niezmiernie wiele monej herbaty i to było przyczyną nerwowości, którą się nieraz zaznaczył w życiu. Miał skłonność do napojów wysokowych, ale od tych powstrzymał się umiał, bo jeżeli pił — pił aż do upojenia się, do nietrzeźwości. Gdy raz na proszonym obiedzie nalegano, aby wypił choć kieliszek wina, odparł: — „Nie mogę pić mało i dlatego nie piję wcale. Całkowite wyrzeczenie się jest dla mnie łatwiejszem, niżeli umiarkowanie.“

Zwrócił się do herbaty, aby zastąpić nią napoje gorące, i to było powodem, że w walce, którą za jego czasów wydano w Anglii herbacie, stawał w jej obronie. Angielski uczony, Dr. Austie, w dziele swoim: „On Stimulants and Narcotics“ pisze, że tak kawa, jak herbata, stają się truciznami, gdy pije się ich za wiele. Paraliżujący wpływ herbaty, używanej w większej ilości wywołuje upartą trudność trawienia, gdy kawa działa na serce w stopniu rozstrajającym aż do chorobliwości. Przecież herbata zastąpiła nieraz trunki upajające ludziom poszukującym podniecenia, i to przemawia za nią, jakkolwiek uciekanie się do wszelkich takich środków jest rzeczą złą, którą można przypłacić zdrowiem ciała i umysłu.—„Nikt nie oszukał jeszcze bezkarnie natury!“—woła Emerson i dodaje, że środki tego rodzaju nie mogą być nigdy źródłem szlachetnego, wyższego natchnienia, które ma siedlisko nie w nerwach i pisze: — „Duch świata, wielkie spokojne uczucie obecności jego w naturze, nie schodzi na nas przez wino lub opium. Wzniosłe objawienia zstępują w duszę czystą i prostą, mieszkają w czystym, niewinnym ciele. To, co zawdzięczamy narkotynom, nie jest natchnieniem, ale kłamiącą je furją.“ Rzeczą niemniej szkodliwą, niż narkotyki, jest dla osób pracujących umysłowo zbytek pracy. *Morbus Eruditorum* jest chorobą ludzi uczonych, którzy przeładowują sobie mózg wiedzą. Osłabia to nie mniej od tworzenia literackiego, odbiera organizmowi fizycznemu jedność i odporność na wpływy zewnętrzne. Wszelkie wstrząśnienia, wszelkie obrażenia organizmu strają się wtedy zabójczymi i Smiles stawia tu, jako przykład, uczonego lekarza francuzkiego, Bichat'a, który przez nadmierną pracę mózgu tak podkopał sobie siły żywotne, że, mając lat trzydzieści jeden, umarł z powodu upadku głową naprzód. Wstrząśnienie, spowodowane tym upadkiem, było dla niego zbyt wielkiem — i poszedł na wieczny odpoczynek grobu.

Bezsensowność jest pierwszą karą za przepracowanie się mózgu; potem przychodzi melancholia — uczucie nieokreślonego smutku i zniechęcenia, — które uciska boleśniej nawet, niż wtedy, kiedy ma źródło w wielkiej jakiej stracie. Newton był

umysłem dość potężnym, aby się nie obawiać wysilenia: a przecież uległ mu aż do chwilowego rozstroju umysłu i jego zbczenia, jak to sam opisywał w liście do Locke'a. Nadużycie umysłu tak się mści na nas, jak wszelkie inne.

Poeta angielskie Chaucer opisuje się w poemacie swoim *Dream* jako ofiara takiego stanu. Pascal, którego uważać można za jednego z najwznioślejszych myślicieli świata, uległ podobnie melancholii zmęczonego nad miarę umysłu. Umarł, dręczony okrutnym przywidzeniem, że ma tuż obok siebie przepaść bezdenną, w którą może się stoczyć co chwila. Umarł z udręczeń tego stanu, mając lat trzydzieści dziewięć.

Melancholia napada w podobnych przypadkach nawet humorystów, ludzi wesołego usposobienia i z natury skłonniejszych do śmiechu, niż do płaczu. Molière stał się skutkiem pracy hipokondrykiem. Tasso, Byron, Beethoven i wielu innych gieniuszów i wielkich umysłów usłabło podobnie—wpadło w dziwactwa, przedzenia, w chorobliwe zapatrywanie się na świat i ludzi, uległe jakby obłądowi. Tasso wyobrażał sobie, że otaczają go ogniste pociski, słyszał ustawicznie jakieś nieziemskie głosy, szmery, bicie we dzwony jak na pożar, na trwogę. — „Jakaż korona cierni otaczała królewską tę głowę poety!“—woła żałośnie Smiles.

Benvenuto Cellini, Blake, Rousseau, Goethe, Swedenborg, Shelley, Napoleon doznawali napadów dziwnych hallucynacji. Galileusz stał się hipokondrykiem przez zmęczenie umysłu bezsensownością przy astronomicznych obserwacjach. Wielcy ci ludzie musieli wydobywać sobie z piersi cały zasób energii, aby się nie poddać temu stanowi, który graniczy z szaleństwem. — „Naturę—pisze Bacon — zwyciężać się najlepiej, idąc za jej wskazówkami... Inaczej mści się ona na człowieku, który nie jest nieograniczonym panem, nawet samego siebie.“

Smiles zapisał wiele kart przykładami, jak najpotężniejsi myśliciele, umysły najpłodniej twórcze popadały nagle w posuchę, jak słabło w nich natchnienie, jak malała zdolność tworzenia wielkich obrazów—przez zmęczenie umysłu. Walter Scott zastawił w pamiętnikach swoich opisy bolesnego uczucia chwil takich. On, który pisał tak łatwo i przy ogromnym talencie miał niesłychaną łatwość tworzenia, dochodził przy zmęczeniu do przestraszających objawów jakoby zupełnej prostracy umysłu. Raz, gdy pisał „Woodstock'a“, doszedł do takiego stanu, że się przeląkł sam o siebie. Do jedenastej godziny wieczorem rozmawiał z przyjaciółmi na przechadzce, i gdy oto po rozstaniu się z nimi siadał do pisania, spostrzegł, że nie zdoła napisać nic — nic, coby miało sens jakiśkolwiek. Wyrzyły były bez ładu i składu—bez żadnego sensu.

Było to w epoce, gdy, chcąc wyjść z długów, pisał dużo na zamówienie i zmęczył umysł tak, że, nagląc go i zmuszając do pracy, uczuł się naraz wyczerpanym aż do zupełnej bezsilności. Umarł też przedwcześnie zmęczony, smutny i przyzywający już śmierci, jako jedynego lekarstwa.

Obecnie nadmierna praca umysłowa może być jeszcze szkodliwszą, niż niegdyś — pisze Smiles z tej przyczyny mianowicie że ludzie męczą się już od młodu. — W szkołach już umysły zaczynają przeciążać się pracą. Nauka jest jedną dla wszystkich, a przecież musi ona być umierzona odpowiednio do umysłu, który ma ją przyjmować. Jeszcze Montaigne powiedział: — Jakżesz wiele umysłów widziałem zupełnie ogłupionych przez niepowściągliwe pożądanie nauki! — Wykształcenie! wykształcenie...—pisze w dalszym ciągu Smiles już od siebie — jest to okrzyk dzisiejszej epoki; przecież nie kształcimy się jedynie przez książki i na książkach, ponieważ Bóg dał nam nietylko sam umysł, aby go oświecać i pielęgnować.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

— Jeżeli łaskawi jesteście na gospodarza, przyjeżdżajcie do mnie jako goście; chlebem, solą was przyjmę — rzekł na pożeganiu — ale dziewczyny teraz jeszcze oddać nie mogę. Młoda... niech czeka — zakończył stanowczo.

W teremie i górnicy zrobił się ruch, kiedy dowiedziano się o przyjeździe swatów. Dowiedziała się, naturalnie, i Luda. Na wieść tę zbłądła, jak chusta, i zdawało się, że skamieniała na miejscu. Za Wyszatyczem płakały cicho bojarówny, ale jej serce było obojętnem.

Kiedy po odprawie swatów w górnicy Ludy pokazał się wojewoda, przybiegła doń i po zwyczajem na szyi mu zawisła.

— Były swaty... — rzekł stary wojewoda, a spojrzawszy na dziewczynę, widział łzy w jej błękitnych oczach.

— A toż czego? — zapytał ze współczuciem.

Luda zamiast odpowiedzi powtórnie rzuciła się ojcu na szyję i przez łzy powiedziała:

— Niemili mi, ojczu, Wyszatycz: nie pójdę za niego.

Wojewoda pocałował ją w głowę.

— Jak chcesz, moje dziecko, tak i zrobię... nie ja, lecz ty żyć będziesz z mężem...

Już po odejściu ojca, znalazłszy się w górnicy sama, nie mogła pogodzić się z myślą zostania żoną Wyszatycza. O, nie! nigdy nie zgodziłyby się na to... Młodej rozkołysanej głowie marzyły się obrazy innego szczęścia, niż to, które mógł jej przynieść Wyszatycz.

Dobromira wiedziała także o swatach; kiedy weszła rozebrać dziewczynę, zastała ją we łzach.

— A toż co? — spytała.

Dziewczyna płakała. Starej żal zrobiło się Ludy.

— No, i pocóż płaczesz? Nie bój się, nie da cię ojciec Wyszatyczowi... nie na to pieścił i chował. Wyszatycz dobry chłopiec, ale... niech sobie innej poszuka! Znajdzie się dla ciebie ktoś lepszy...

Swaty, nie otrzymawszy odpowiedzi pewnej, przyjechali raz jeszcze, ale było to już poraz ostatni; wojewoda nie dał Wyszatyczowi dziewczki.

Dziewczęta podajnymu gromadziły się na sobótki, przedły śpiewały i wróżyły, odwiedzając się wzajemnie.

W kilka dni po odprawie Wyszatycza, nad wieczorem, przyszła do Ludy w odwiedzinę Bogna Braczyśławówna, a z nią kilka innych dziewcząt. Rozpoczęła się rozmowa o chłopcach odwiedających sobótki, z kąd przeszła na świeży temat — swatów Wyszatycza.

Niem mało dziwiły się drużki, że Luda Wyszatycza nie chce, ale nie chce — tego dosyć, ona u ojca jedna: nie oddały więc i za kniazia, gdyby go Luda nie kochała.

Była może druga albo trzecia godzina nocna, kiedy nagle psy ujadać poczęły. Bognie błysnęła myśl o wróżbie.

— Wiesz co, Ludo — powrózmy, w którą stronę iść nam za mąż?

— Dobrze, powrózmy! — krzyknęły inne chórem i, niedługo czekając, narzuciwszy na siebie szubki, wybiegły wszystkie na teremowy dziedziniec, otworzyły furtę i postawały na drodze niedaleko dworu.

W grodzie już panowała cisza. Śliczna mroźna noc, z wyiskrzonymi na niebie gwiazdami, pokrywała gród cały, śpiący spokojnie. Gdzieniedzie błyszczało daleko światelko; pod nogami skrzyślał śnieg, a oprócz cichych dziewczyczych szeptów,

żaden głos ludzki nie odezwał się dokoła. Pierwsza wyszła na drogę Braczyśławówna i, napół śmiejąc się, rzekła:

— Zaszczekaj, psie czarny, zawyj wilku szary! Gdzie pies zaszczeka, gdzie wilk zawyje — tam mieszka mój sądzony.

Dziewczęta szeptały do siebie pół głosem i nasłuchiwały.

Po chwili zaszczekał w sąsiedztwie pies jakiś ochryplym głosem i zamilkł, odezwał się znowu i znowu zamilkł.

Dziewczęta poczęły się śmiać.

— Otóż dowróżyła się Bogna! Pójdiesz, serdenko, za jakiegoś starego grzyba!

— Będzie na ciebie gderał ochryplym głosem, jak ten pies szczeka...

— Niekażdemu szczekaniu wierzyć — broniła się Bogna.

Przyszła kolej na Ludę.

Wystąpiła jak inne na środek drogi i jak inne rzekła:

— Zaszczekaj psie czarny, zawyj wilku szary! Gdzie pies zaszczeka, gdzie wilk zawyje, tam mieszka mój sądzony...

Mało co poczekawszy, dziewczęta usłyszały szczekanie psa. Było to gdzieś bardzo daleko; zdawało się, że dolatywało od strony Biehorodu. Głos psa był jasny, dźwięczny, wyrazisty i płynął swobodnie przez ciche, mroźne powietrze nocy.

— Ho, ho! — mówiły dziewczęta — twój sądzony gdzieś zdaleka od Lachów przyjedzie...

Zaledwie tę uwagę wypowiedziano, gdy się rozległo przeciągłe, silne wycie wilka.

Drużki mimowolnie zwróciły się w stronę z kąd wycie wilka słyszeć się dawało.

Nasłuchiwały.

— Od Berestowa — rzekła jedna.

— Niżej... od Mogiły Askolda...

— Otóż, Ludo, i wróżba tobie: przyjedzie sądzony od Lachów i na Krasnym Dworze ciebie posadzi...

Śmiały się dziewczęta z tych przepowiedni i, śmiejąc się wesoło, wróciły do górnicy.

Niewesoła tylko wróciła Luda. Tęskniła do kogoś, do czegoś — sama nie wiedziała do czego. Pragnęła, aby wiatr wyszeptał jej coś lepszego, coś takiego, jak tej dziewczynie w baśni Putiaty...

Małoco przed północą rozeszły się towarzyszki do domów. Luda została sama. Już koguty i północ przepiały, a Luda zasnąć nie mogła — na sen nie zbierało się... jakieś myśli, jakieś niepokoje widocznie ciężyły na sercu dziewczyny. Czy się smuciła, że sądzony tak zdaleka przyjedzie? Czy ciekawą była wiedzieć: kto to jest, jak wygląda ów sądzony?

Bezwiednie jakoś zbliżyła się do okna, przytuliła się twarzą do szybki napiętej i wpatrywała się w gwiazdzisty bezmiar niebios. W tej chwili przyszło jej na myśl raz jeszcze powróżyć; poczęła więc wpatrywać się w okienko i zeicha przemówiła:

— Mój sądzony, mój sądzony! przejeźdź pod okienkiem.

Coś niby szeptało dziewczynie: „Patrz w okno!“ Patrzyła więc, z gorączkowym natężeniem, ale sądnego nie było widać. Gwiazdy iskrzyły się jak dawniej; od ich bladego światelka połyskiwała sadz na drzewach; niekiedy lekki wietrzyk poruszył gałęzie i sadz spadała na ziemię, a szum niewyraźny dolatywał do uszu Ludy.

Dziewczyna ciągle patrzyła przed siebie, w niebo gwiazdziste, na wierzchołki drzew sadu; wsłuchiwała się w wycie wiatru.

W tem zdało się jej, że drzewa zaszeleściły silniej, sadz posypała się z gałązek. Jakiś ruch niby się zrobił; serce w niej zamarło, ale ciekawość przemogła — patrzyła więc przed siebie...

Na dalekiem tle niebios ruch wydawał się teraz większym; w pół wyraźnie migały przed nią konie, rycerze... Cóż to? Orszak konny... posuwa się coraz bliżej, bliżej... Przodem jechał rycerz zakuty w stalową kolczugę, łuski stalowe na koniu, szyszak, strzemiona połyskiwały przy bladym świetle gwiazd... jechał wprost do niej... kniaz jakiś, król może... za nim zwolna orszak konny postępował i ponad drzewami sadu zatrzymał się...

Rycerz jadący przodem stanął, spiąwszy konia... podniósł rękę w stalową rękawicę zakutą i szyszak zdjął z głowy — pokłonił się...

Luda zadrżała, krzyknęła i upadła przy oknie.

Zbiegły się dziewczki służebne, podjęły ją i do łoża przyprowadziły. Jaki był powód nagłego przestrachu Ludy, nikt w domu nie wiedział; ale wiedziała Luda: zaklęty wróżba zjawił się przed nią — sądzony.

## III.

### Dwa poselstwa.

Dziewczyna, z przestrachu i zdziwienia, odchowała zjawisko własną wyobraźnią wywołane, ale, nietylko ojcu, nawet Dobromirze, nie powiedziała ani słówka o odwiedzinach sądnego, które ją na łożo powaliły. Obraz ten stał się dla niej jakąś rozkoszą, którą się nasycala tajemnie i nierada była dzielić się nią nawet z mamką. Od owej wieczornej chwili, kiedy sądzony stanął przed nią na czele zbrojnego orszaku, postać jego i ów orszak, i ta chwila tak się odbiły w jej pamięci i myśli, że się z niemi nie rozstawiała nigdy. Zamykała oczy z myślą o tym sądnym, który nie wiedzieć z kąd przyjechał, słowa nie przemówił; zdjął tylko przed nią kołpak i twarz pokazał — i serce jej zabrał za sobą w ten kraj, jakiś niewiadomy, z kąd przyjechał. Otwierała oczy, budząc się ze snu: znowu widziała jego.

Zamknęła się w sobie, żyć poczęła własnem, niewidzialnem, niedostępnem nikomu życiem; miała już świat własny, do którego dostępu, oprócz niej, nikt nie miał i jakoś najmniej się czuła stała na wypadki i położenie rodzinnego miasta.

Tymczasem obiegać poczęły wieści, że Izasław na Wszesława idzie i Kijów sposobił się do oporu. Wieści stawały się coraz dokładniejszymi, ale i groźniejszymi zarazem, bo mówiono, że z Izasławem podąża także Król Polski Bolesław Śmiały, który, chociaż jeszcze młody, pozyskał już był sobie sławę i rozgłos wojnami na Pomorzu i z Węgrami. Kijowianie naradzali się ze sobą, bo Wszesław bardzo opieszale brał się do roboty.

Trzeba było radzić o sobie.

Znowu więc zajęczał dzwon wiecowy i lud tłumnie zgromadził się pod Turową Bożnicą. Stał się wypadek haniebny, a nieprzewidywany.

Przywołano Kośniaczka.

Nim na wiec przybył, już się o ucieczce Wszesława dowiedział. Na wiecu przemówił doń Warzako:

— Widzisz, wojewodo — rzekł — nowa hańba stała się na Rusi: kniaz, którego wybraliśmy, aby nas bronił, uciekł, zostawiwszy gród na łup Izasława i Lachów, którzy pod Biehorodem stoją i okopali się.

— Ha uciekł nie dziwota... Kniazom chodzi o udziały na Rusi, ale nie o lud na Rusi — ktoś dorzucił.

Bądźco bądź złe było i widoczne i blizkie.

— Ty, wojewodo, najstarszy jesteś... radz, co nam uczynić potrzeba?

— Trudno teraz radzić! — odrzekł zamysłony Kośniaczko.

— Możeby nowego kniazia poszukać? Posłać do Świętosława, do Wszewołoda...

— Nie można — odrzekł stanowczo wojewoda — kniazowie będą się wadzić o dziedziny i o stolice wielko-książęce, a nam czuby zatrzeszczą... Myślicie, że nowy kniaz będzie lepszy? Zresztą Izasław nie ustąpi Świętosławowi, jak nie ustąpił Wszesławowi — a niezawsze któryś ucieknie!

— Dobrze mówi wojewoda! kniazie będą się ze sobą spierać, a nas będzie skóra boleć.

Warzako niecierpliwie ręką machnął.

— Mówicie wszyscy dobrze, ale jakaż wasza rada? Mów ty — zwrócił się do Kośniaczka.

— Moja rada — odrzekł wojewoda — upokrzyć się przed Izasławem i do grodu go przyjąć; trzeba wybrać złe mniejsze... niezawsze będzie okajannym; może mu przecie przyjdzie opamię-

tanie. Gdyby pewność, że inny książę będzie lepszy! — możnaby innego szukać.

Głos rozsądku przeważał.

— Może przecie i Izaśław miłościwszym okaza się teraz — ktoś wtrącił.

— Zemści się! — wołano z tłumu — w pień wytnie tych, co wyrabiali Wszesława... dostanie się winnym i niewinnym!

— A lepiej będzie, jeżeli siłą gród zdobędzie, zrujnuje do szczytu, spali wszystko i zniszczy?

— Nie doczeka! — krzyknął ktoś groźnie. — Bronić będziemy naszego grodu i mienia! Jeżeli się mścić zechce, spalimy lepiej gród sami, ucieknijmy do Grecji — i niech książę na popieliszczu...

Mowa ta podobała się Kijowianom. Postanowiono wysłać posłów do Izaśława i upokorzyć się. Na czele poselstwa stanął Warażko.

Czasu do stracenia nie było. Nazajutrz udali się posłowie do obozu pod Bielhorodem.

Zdaleka już, niedojeżdżając grodu, widzieli rozłożone obozy Izaśława i Bolesława, na poniżu Irpenia, zastaną niewielkiego lasu w łuk zatoczonym. Widać je było zdaleka, ale zaledwie posłowie zbliżyli się do owego lasu, czujna straż wnet zwróciła uwagę na konny orszak i do obozu znać dała. Myślano, czy nie urządzają Kijowianie jakiej wycieczki, gdyż o ucieczce Wszesława z drużyną nic jeszcze nie wiadano. Domyślano się poselstwa. Przybyli posłowie zatrzymani zostali przez straż, póki nie nadjechał silniejszy oddział, który, przepuściwszy posłów przez łańcuch strażniczy, do środka obozu go wprowadził.

Posłowie zażądali widzenia się z Izaśławem i z Królem Polskim.

Prowadzono ich do namiotu, w którym, oprócz króla i Izaśława, był także starszy syn księcia Kijowskiego Mścisław.

Sosnowy stół na krzyżach, przywieziony z Polski na wozach postępujących za obozem, składany i rozkładany przez ciurów obozowych, ile razy zachodziła potrzeba; na ziemi rozpostarte skóry niedźwiedzie, na których leżały siodła przykryte potnikiem, używane zamiast poduszek, i porozkładane na ławeczkach służących do siedzenia, ciężkie kirysy, hełmy, misiurki i koncerze — oto było całe urządzenie sali posłuchalnej.

Kiedy posłowie weszli do namiotu, strzeżonego zewnątrz i wewnątrz przez pachołków zwęgarską ubranych, oddali ukłon głęboki osobom siedzącym przy stole. W jednym z nich poznano Izaśława, drugim był młodzieniec dwudziesto-kilkoletni zaledwie, o smagłej, pociągłej, ogorzalej od słońca i wiatru twarzy; niewielki czarny wąs dziarsko mu się kręcił, a bystre, ruchliwe piwne oczy, niespokojnie ciągle patrzyły przed siebie. Nie nosił on żadnych oznak królewskich, ale postawa, spojrzenie i twarz miały w sobie królewską powagę. Widać było, że ów młodzieniec już kres młodzieńczego życia przekroczył, że dojrzał przedwcześnie wśród trudów obozowych i nauczył się poznawać ludzi wśród życia. Tym młodzieńcem był Król Polski, Bolesław Śmiały.

Na głęboki pokłon poważnie i spokojnie głowę pochylił, badał ich przenikliwym okiem i jakby czekał, co mówić poczują.

Zpod rudych krzaczastych wąsów usta Izaśława wyrzały złośliwie, a oczy spoglądały na posłów z pewnym urąganiem zwycięzcy.

Posłowie stali chwilę w milczeniu.

— Oto jest — rzekł, pochylając nieco głowy ku stronie Bolesława, zwróciwszy się do nich Izaśław — Król Polski, Bolesław; Bóg mi go posłał, aby się stała sprawiedliwość przez niego.

Posłowie pokłonili się.

— Wszystko jest w ręku Boga, miłościwy książę.

— Pewnie! — odrzekł książę z uśmiechem, a potem dodał: — Z jakąż wieścią przysyłają was Kijowianie?

Przodem wysunął się Warażko.

— Korzą się przed tobą, miłościwy książę, i do grodu ojca twego cię zapraszają. Wróc do nas, siadź i rządź podawnemu.

Po obliczu Izaśława prześlizgnął się uśmiech zadowolenia.

— Zapóźno przychodzicie prosić. Wiem przecież, że Wszesław nastawał na moją dziedzinę: jemu zawsze było mało; już nieraz pokonałem go: pokonam i teraz, kiedy król polski swojej mocnej ręki przykładą do obrony mojej niewinności.

— Miłościwy książę — odpowiedział Warażko, już nie masz przed sobą nieprzyjaciela... Wszesław wraz z drużyną swoją uciekł do Połocka.

Izaśław oczy otworzył szeroko.

— Uciekł? — wykrzyknął zdziwiony i spojrzął na Bolesława, jakby go wzrokiem pytał: co teraz robić będziemy?

Bolesław ani słówka nie odrzekł, żadnym ruchem twarzy nie zdradził zdziwienia, jakgdyby się tej ucieczki spodziewał; słuchał tylko pilnie i z oczu posłów nie spuszczał.

— Uciekł, miłościwy książę — powtórzył Warażko. — Teraz już niema nieprzyjaciela: nie idź więc siłą na Kijów i nie niszczyć grodu ojca twego!

Ta pokora podniosła pychę Izaśława.

— Teraz widzicie do czego was lud prowadzi i wiecie? Nie do dobrego... Burzycie się, krzyczycie, ile razy Połocznym pokaże się na Łybedi, że was nikt nie broni, wyrębuje z porubu tych, którzy macją spokój na Rusi, zmuszacie książę, którzy po ojcach i dziadach zasiedli na stolicy wielkksiążęcej szukać pomocy i obrony u dalekich krewnych, a potem oto kłanianie się i mówienie: nie niszczyć grodu ojca twój! Czemuż was lud nie broni teraz? Czemu was nie broni ten, któregoście wyrabiali z porubu i na moim miejscu, na książym dworze, posadzili?

— Miłościwy książę — rzekł Warażko — Bóg kieruje umysłem ludzkim, Bóg kieruje i ludźmi. Prawda, że Wszesław uciekł, ale lud nie uciekł z Kijowa; lud ma siłę i może bronić się, ale nie chce. Miłościwy książę! dla ciebie gród jest tylko po ojcach i dziadach dziedziną, ale lud mieszka już tam od wieków; żal mu więc, jeśli w wojnie domowej ginąć będzie jego dostatek i mienie, z dymem pójdą jego chaty, odlegiem będą leżeć niwy, orane jeszcze niedawno...

Izaśław burzył się.

— Wycępić potrzeba buntowników — wołał — to dzieciom ich nie zechce się zmieniać książę, jak szubyl!

Warażko śmiało spojrzął w oczy Izaśławowi.

— Wola twoja, miłościwy książę — rzekł — ale lud, który nas posłał, myśli inaczej: błaga u ciebie przebaczenia i łaski, błaga, abyś obcej drużyny na gród twój własny nie prowadził i nie niszczył go, a jeśli mu przebaczenia i łaski nie obiecasz, jeśli obcy przybysze mają niszczyć to, co nasi dziadowie i pradziadowie budowali i gromadzili, to lepiej zniszczymy to sami, spalimy i zrujnujemy wszystko, zabierzemy żony nasze i dzieci, dobytek nasz, i ucieknijmy do Grecji. Tobie, książę, pozostaną popieliszcz i zwaliska — nad nimi chyba książę będziesz.

Takiej śmiałości widocznie nie spodziewał się Izaśław i znowu pytające spojrzenie zwrócił na Bolesława.

Bolesław głos zabrał.

— Dobrze jest — rzekł — że tak szczerze bronić chcecie swojej macierzy; trzeba wam tylko żyć, abyście jej w gorszych wypadkach tak samo bronić potrafili. Teraz niema bynajmniej ostateczności, bo i ja i ci, których na pomoc krewnemu prowadzę, i wam są powinowaci krwią i mową. Jaką wy z Połowcami, taką wojnę my codzień prowadzimy z Niemcami; wojsko zaś mam nie na to, abym lud i mienie jego niszczył, ale ażebym go bronił, gdy będzie potrzeba. Wojsko prowadzę na nieprzyjaciół księcia Izaśława, jeżeli zaś nieprzyjaciół niema, bezbronnych napaść i nad nimi znęcać się, ani ja nie będę, ani książę Izaśław nie zechce. Poczekaćcie czas niedługi, naradzimy się ze sobą, a może będziecie mogli zanieść Kijowianom dobrą wiadomość.

Posłowie kijowscy wyszli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 1 Sierpnia 1888 r.

Deszcze i oziębienie się powietrza. — Emigracja do wód. — Jeszcze Bulanżerówka. — Skandal w parlamencie i pojedynk ex-generała z Floquetem. — Obchód 14 Lipca. — List Hrabiego Paryża do merów i zwołanie ich do stolicy przez rząd. — Olbrzymi bankiet. — Illuminacje i fajerwerk z Wieży Eifela. — Podróże Prezydenta Rzeczypospolitej; Grénoble i Chambéry. — Miesiąć posągów. — Odsłonięcie pomników: Stefana Mar.ela, Gambetty, sierzanta Bobillota i Ojca Lacordaire'a. — „Nieśmiertelny“, nowa powieść Alfonsa Daudeta. — Muzyka kościelna i listy pasterskie dwóch biskupów.

Otóż i koniec Lipca, a myśmy tu jeszcze nie rozpoczęli lata; bo kilku zaledwie dni słonecznych nie można wcale zaliczać do onych sławnych dni kanikuly. Trzeba się więc ostatecznie zrezygnować i chodzić w kożuchu. Za każdym powrotem słońca, skoro się ukazać nam raczy, w ślad następują burze, deszcze, ulewa, zimno — i człowiek pomimowoli przypomina sobie owe czasy, kiedy-to lato było latem, a zima zimą. Czy gorące lato wyszłoby nam na lepsze? Bóg święty raczy wiedzieć! Zdajmy się więc na jego łaskę: on wie lepiej co czyni. Jest już tego dowodem ogólny stan zdrowia; stan ten niezaprzeczenie jest wogóle dobry, co się niezawsze tu zdarza przy wielkich upałach...

Ten stan ogólny nizkiej temperatury w środkowej i północnej Francji nie przeszkodził wcale Paryżanom wyrwać się z miasta i szukać — czego? Słońca i świeżego powietrza. Ależ to ostatnie mamy tu, i tak świeże, iż człowiek bez palatna nie wychodzi z domu, a słońce tu i tam siedzi za chmurą i pokazuje się zrzadka. Jeszcze ci, co mają wspaniałe, a przynajmniej wygodne, wiejskie mieszkanie, mają też i pewną kompensatę — ale reszta? Ci muszą mieścić się w hotelach, albo w najętych skromnych i brudnych domkach. Niepogoda trzyma ich całymi dniami w ciasnych pokojkach. Muszą żywić się potrawami przyrządzonymi niewprawną ręką wiejskich płodźdymów, a spać na niewygodnym, bardzo niewygodnym, łóżku.

Rozpoczęliśmy zresztą ten miesiąc burzliwy pod wpływem burzliwych konstellacji politycznych. Jak mówiłem w ostatnim liście, tak się też stało. Przycichła niby Bulanżerówka znowu wystąpiła na scenę. Pierwsze zagajenie sprawy w parlamencie przez samego ex-generała nie zupełnie mu wyszła na korzyść i sławę. Niefortunny ów popis postawił go w tem położeniu, że musiał albo zamilknąć, albo złożyć swój mandat poselski. P. Boulanger i jego doradcy wybrali to ostatnie; zaś ażeby większy położyć nacisk na ten krok stanowczy, urządzono, że ex-generał powinien raz jeszcze powiedzieć *verba veritatis* tej niesfornej większości i po wywołaniu zawieruchy, bez której obejść się nie mogło, — złożyć swój mandat, a raczej cisnąć nim w twarz swoim przeciwnikom.

Stało się zadość temu życzeniu, a nawet stało się więcej, niżli Bulanżerowski spodziewać się mógł, bo odpowiedź na cierpkie zarzuty, czynione ministerium i izbie, wziął na siebie p. Floquet, prezydent rady ministrów. A że p. Floquet, zostawszy pierwszym ministrem, nie przestał być adwokatem: więc z tem przyzwyczajeniem, nabytem przy sądowych kratkach, aby widzieć w każdym przeciwniku ofiarę, oddaną mu z duszą i ciałem na pastwę, i traktować go, jak łotra i ostatniego nieponia, — pan Floquet tedy, tak obelżywymi słowy dotknął Boulangera, iż ten, zapominając się również, zadał przeciwnikowi swemu — „wierutne kłamstwo.“

Szermierka taka wywołała w izbie jedną z tych scen, o jakich dawno już nie słyszeliśmy tutaj, a która nam przypomniała owe pamiętne home-ryczne zajścia w Zagrzebiu i Wiedniu... Powodem tego były słowa Floqueta, zarzucającego generałowi, iż całą swą karierę był on obowiązany wycieraniu kątów w zakrystyi, albo w przed-

pokojach książęcych. Na to generał huknął: „Kłamiesz pan beczelnie.“

Nieuniknionym skutkiem takiego krasomówstwa parlamentarnego był pojedynek Boulangera z Floquetem, pojedynek na szpady, w ogrodzie jednego z przyjaciół ex-generała, hr. Dillon'a w Neuilly—jednym z przedmieść Paryża, od strony sławnej bramy tryumfalnej, zwanej: „de l'Etoile.“

Dosyć to wyglądało już dziwnie, że prezes ministrów, człowiek już starszy, wychodzi na plac z generałem, równie nie pierwszej młodości. Ale, co było dziwniejszem, że ten przeszło 50 letni adwokat, widocznie rzadko mający do czynienia ze szpadą, zadał swemu antagoniście wojskowemu taki raz, iż to zmusiło do przerwania walki. Pokazuje się, że obaj przeciwnicy byli równej siły, bo ani generał, ani adwokat, nie dali dowodu robienia bronią...

Ocalając całą śmieszność tej sprawy, przyjaciele ex-generała, który pozostał na placu boju, w domu hr. Dillon'a, starali się nadać przynajmniej charakter pewnej wagi otrzymanej rany. Ztąd ogłoszono zaraz niepokojące buletyny o zdrowiu Boulangera i o stanie odniesionej rany. Otóż, jak się pokazało z następstw, i jak twierdzili zaraz ludzie świadomi prawdy—rana ta była rzeczywiście od początku lekka.

Odtąd po swej dymissyi z Izby Deput. Boulanger zostaje wieczystym i niezmiennym kandydatem do poselstwa. Gdzie tylko odbywają się częstkowe wybory — spotykamy wszędzie jego imię, jeśli nie osobę; a chociaż, jak się to stało ostatnimi czasy i już po strasznym pojedynku, w langwedockim departamencie de L'Ardèche, ta kandydatura upadła wobec konserwatysty i radykalisty, generał przecież się nie zraża; wierzy w swoją gwiazdę—bo tu każdy pretendent ma swoją gwiazdkę—i obiecując dalej poddawać się pod głosowanie.

Cała owa śmieszna rozprawa odbyła się w przeddzień narodowego święta 14 Lipca, a zatem w wigilię zalimitowania się Izby Poselskiej i Senatu. Ten obchód doroczny, tak zwanego narodowego święta, odbył się ze zwykłym ceremoniałem swoim w Lasku Bulońskim. Piękna pogoda, wyjątkowa, i niezbyt skwarne słońce, spowodowały niezliczone tłumy ludu. Nie brakło okrzyków dla prezydenta, p. Carnot'a, i dla Floquet'a, i dla wojska, nawet trochę i dla Boulangera, bo tu na wszystko znajdziesz gotowych ludzi. Nie było przecież tej jedności, którąśmy rzadko, ale przecież widzieli już tutaj—kiedy tłum ludu, porwany jakby jednym uczuciem i myślą, w jednym spólnym zlewa swój głos okrzyku!

Chcąc przesadzić poprzedników swoich w świętności, pseudo-radykalny gabinet Floquet'a postanowił odświeżyć pamięć sławnej Federacji Marsowego Pola z wielkiej rewolucyi 1789 roku. Zwołano więc merów trzech tysięcy gmin we Francyi na obchód 14 Lipca. Przed samem świętem ukazał się monarchiczny okólnik hr. Paryża, wzywający wszystkich merów do zjednoczenia się nakoniec w jednej wspólnej myśli: odbudowania we Francyi rządu monarchicznego. Jak zwykle bywa w takich okolicznościach, merowie przeczytali okólniki,—o ile ich policya nie skonfiskowała,—i porwuczyli je do kosza. Nie wielu było takich, którzyby zadali sobie pytanie: Jak tu odbudować ową monarchią?

Na 14 Lipca stawiło się merów przeszło dwa tysiące, tak przynajmniej wnosić można z liczby miejsc w szopie, w której nakrycia były urządzone i zajęte przez 2.475 osób.

Jak tu są wprawieni w urządzenie takich obchodów, dowodzi najlepiej ten fakt, iż pomimo ogromnego zbiegowiska konsumentów wszystko odbyło się dość porządnie; a jeśli większa połowa biesiadników nie dosłyszała ani słowa ze sławnego przemówienia p. Carnot'a, wszyscy przecież byli nakarmieni i napojeni, a syci do woli i mieli to przekonanie spokojnych żoładków, że Prezydent Rzeczypospolitej głupstwa nie powie, a więc hucznie oklaskami przyjęli mowę.

Obchód i bankiet skończyły się illuminacją i fajerwerkami. Nawet monarchiści i sympatyzujący z nimi nie zaprzeczają, że oświetlenie pałacu Trocadero i parku przy nim, że dalej fajer-

werk urządzony na sławnej Wieży Eifela, były prawdziwie zachwycającego efektu. Nie myślę się tu porywać nawet na opis tego czarodziejstwa! Sztuczne ognie spalone na wysokości 60 metrów wieży Eifela i wytryskające w olbrzymi, cudowny, różnobarwny wulkan, były jedną z najciekawszych rzeczy, jakie w tym dniu zabawiały wzrok zaciekawiony ludu paryżkiego. To też Paryżanie, których nie trzeba ciągnąć za kołnierz, kiedy im dasz sposobność do uciechy, uczcili to widowisko swoją obecnością, i to w takiej massie, jakiej już dawno nie widziano tutaj. Kto nie patrzył własnymi oczyma na te płynące tłumy, od jakiej 3-ej godziny z południa, do 9-ej w wieczór, płynące w jedną i tężsamą stronę: pałacu Trocadero i Marsowego Pola, ten nie może sobie wyobrazić, co to była za rzeka, co za morze ludzkie! Zdawało się, że cały Paryż, blisko trzy miliony ludu, tu spłynął; a przecież w trzech innych jeszcze dzielnicach stolicy illuminacje i fajerwerki miały również swoje tłumy ciekawych.

Aby raz skończyć z temi wiadomościami polityczno-festywalnemi,—pozostaje mi tu zaznaczyć, że p. Carnot, wychodząc ze swej praktyczniejszej znajomości ducha narodowego we Francyi, rozpoczął wycieczki po kraju, których tak troskliwie unikał, stary, oszczędny adwokat Grévy, jego poprzednik. A przecież to zetknięcie się, pierwszego, najwyższego urzędnika Rzeczypospolitej z prowincjonalną ludnością daleko większy wpływ wywiera na zjednanie jej umysłów w kraju,—niż wszelkie wystawy, ceremonie i spektakle, wyprawiane w sceptycznej stolicy. Mieliśmy tego świeży dowód na dwóch ostatnich wycieczkach p. Carnot'a: jednej do Bordeaux, drugiej do Grénoble, Chambéry, Vizille.

Zwiedzenie Sabaudyi, właśnie w chwili, kiedy we Włoszech zaczynają przemawiać o geograficznie-włoskiej ludności, nie było bez donioślejszego znaczenia, a otrzymane korzyści przechodzą owiele skromniejszy z pozoru programat prezydenta. Echo manifestacyi sabaudzkich pójdzie daleko, daleko, gdyż wzruszona ludność tej okolicy głośno i uroczyście stwierdziła swoją spójność i jedność z Francją. Prawda, że takie wycieczki kosztują drogo. Ostatnia podróż p. Carnot'a kosztowała — jak powiadają—100.000 fr., ale zebrane owoce z tego drzewa warte są miliony.

Pomimo te wszystkie polityczne demonstracje i obchody, miesiąc Lipiec roku bieżącego nie weźmie od nich swej nazwy; sprawiedliwej bowiem nazwanym być może „Miesiącem posągów.“ Wobec tej ulewy pomników w samym tylko miesiącu Lipcu—ze smutkiem myśli się o tem, że ci ludzie tutaj w tym Paryżu w ciągu jednego miesiąca umieli dokonać trzy razy tyle, na ile my się zbieramy od lat pięciu z górą. — Tak, dotąd jeszcze nie zdołaliśmy postawić tego jednego pomnika największemu z naszych poetów. A przecież, nie brak to funduszków był powodem zwłoki, lecz tylko brak ładu i praktycznego rozumu. Patrzmy więc, jak robią drudzy—i od nich uczmy się rozumu: dlatego też powiem słówko o tych pomnikach, wzniesionych w Lipcu we Francyi—a przynajmniej o główniejszych.

Obok Ratusza Paryżkiego — od strony południowej, to jest od strony Sekwany,—Rada Miejska, aby uczcić pierwszą próbę niezależności swych rządów w osobie mera, który przeszło czterdzieści lat temu, próbę tę życiem przypłacił — postanowiła wzniesić pomnik Stefanowi Marcelowi. Marcel ten, w XIV wieku, będąc wójttem Paryża, albo jak ich nazywano wówczas po miastach „Prévôt des Marchands,“ korzystając z wojny prowadzonej z Anglikami, w której król Jan dostał się do niewoli, po przegranej pod Poitiers—potrafił zręcznie zagarnąć w swe ręce najwyższą władzę w stolicy i na swoją rękę zaprowadzić autonomią i niepodległość Rady Muncypalnej.

Jest to właściwie zadaniem dzisiejszej rady miejskiej w Paryżu; nie więc dziwnego, że ztąd wyszła gloryfikacja, trochę może naciąganych faktów i osobistości owego-to Stefana Marcela, o którym współcześni i potomni rozmaicie pisali,

oskarżając go nawet o zdradę, jako wznecającego domowy zatarg wobec nieprzyjaciela.

Czas jakiś politykując i grożąc naprzemian, potrafił Marcel zmusić następcę trouu, ks. Normandy, do opuszczenia Paryża. Traktował z królem Nawarry o koronę Francyi, a nawet, jak go podejrzewano, ale niesłusznie, z Anglikami, aby się pozbyć ks. Normandy; ale oplątany we własną sieć intryg, został zabitym w jednej z tych prawie codziennych kollizyi najemnego żołnierza i Paryżanów, która zakrwawiała ulice stolicy, obłączonej przez wojsko ks. Normandy.

(Dokończenie nastąpi)

## W ANTYLLACH.

Przez

Quatrelles

przekład M. K.

(Dalszy ciąg).

III.

Na lądzie.

Nakoniec kraj, który nam przed sobą, posiada swój właściwy charakter, zwyczaj, obyczaj, domy, ludzi, roślinność. Co tu znaleźć? Nic nie wiem, w każdym razie będzie to coś zupełnie różnego od rzeczy dotąd widzianych,—a jakaż to miła rzecz nowość!..

Niema tu przekupniów z kasztanami, ani policyantów na rogach ulic, niema fiaków, niema gołoledzi i kupeów korzennych... Czy uwierzyć? Dotąd nie spotkałem żadnej zręcznej figurki w eleganckim kostiumie, żadnej damy wyciągniętej w wiktorii, ale omało nie wypadłem z mego wehikułu, zapatrzony na postać, jakiej nikt z was nie oglądał. Była to potężnie tłusta Murzynka, wygorsowana jak na bal, pałaca olbrzymiego „brevas“, w sukni białej, zabłoconej potężnie, pomimo siedmiomiesięcznej suszy. Na ulicach pełno Murzynek.

Godzinę przedtem, na pokładzie „Eideru“ Paryż był jeszcze o dwa kroki ode mnie—wyspa S-go Tomasza ukazała mi się w nocy i widziałem ją tak krótko, iż mogło mi się to zdawać snem tylko; ale widok Hawany nie pozwala mi już wątpić: Paryż znajduje się na drugim końcu świata.

Powóz, którym jadę, niepodobny wcale do używanych w Europie. Domy, którym się przypatrują zdumione moje oczy, wyglądają jak coś, co tylko śnić się może. Te szerokie, do samej ziemi dochodzące okna, przez które wzrok przechodnia sięga w głąb mieszkania; te kobiety nietroszczące się wcale o to, że obcy będzie wtajemniczonym w szczegóły ich domowego życia; te zuchwałe Murzynki, włóczące po ziemi i śmieciach powłoczyste swe suknie, ci żebracy, ofiarowujący ci na każdym kroku pewny majątek w losach królewskiej loteryi—wszystko to wprawia podróżnika w podziw, który nie jest pozbawionym pewnego interessu. Jestem przecież z nadto oszołomiony, aby czynić spokojnie spostrzeżenia. Wzrok mój pochłania przedmioty; tak zapamiętałe patrzę na wszystko, że niczego dobrze nie widzę. Byłoby mi łatwo wziąć sobie do pomocy drukowanych i żywych przewodników, ale nie... Chcę nietylko wszystko sam widzieć, ale widzieć tak właśnie, jak się oczom moim przedstawia: w ruchu życia chwytanego na gorącym uczynku. Podróżnik powinien postępować, jak malarz, i tworzyć jedynie z oryginałów. Kto czyni inaczej, pozbawia się tego właśnie, czego przyjechał szukać: wrażeń! Potem umysł je sobie uporządkuje, ale na początek potrzeba mu właśnie widoków bezładnych—bo to żywe życie.

## III.

## Dom, w którym mieszkam.

Dom, w którym mieszkam, jest zgoła niepodobny do domów europejskich. Pomalowany cały na niebiesko, z białymi obwódkami, wygląda zdaleka jakgdyby go świeżo wykończono w fabryce porcelany w Sèvres. Okiennece zielone, brama olbrzymia, ciężka, silnie zbudowana, koloru ciemno-ponsowego, nabita całą błyszczącymi mosiężnymi gwoździami. W jednej połowie miała furtka dla pieszych przechodniów, z metalowym młotkiem do stukania, starannie wyczyszczonym, przedstawia jakieś fantastyczne potwory. Okna opatrzone w potężne kraty. Jakże kraty te opowiadają smutne rzeczy! Nie na pamiętkę starej Hiszpanii! Nie, wmurowano je tak silnie w ścianę. Przypominają one, iż żyje się tu wśród uciemionych, z którymi prędeż, czy później przyjdzie załatwić ciężkie obrachunki, mówią one o mordach, łupieżtwach, okrutnych odwetach, o tłumach ludzkich zwieszających się przy tych żelaznych sztabach i wyrwających je z murów; mówią o przerażających wrzaskach, pożarach, kałużach krwi, poszarpanych trupach, staczających się ze schodów; o orgiach i tańcach dzikich na dymiących zgłiszczach... Piękna mi, zaiste, przezorność—te kraty! Co znaczą podobne sztaby wobec całego plebienia buntującego się ciągle, nieustannie, uparcie?

Wielu spośród osadników i rządców kolonii żądało odpowiednich reform i stopniowego zniesienia niewolnictwa. Generał Dulce daremnie podjął się być pośrednikiem w tej sprawie: Hiszpania oparła się liberalnym tym popędem. Wy, przecież, którzy tu musicie żyć—żyć z rodzinami waszemi—nie ustawajcie w naleganiach; inaczey przyjdzie godzina, gdy te żelazne kraty, potargane jak źdźbła słomy, zmienią się w broń przeciwko wam zwróconą!

Podróżnik doznaje tu wszakże jednego miłego wrażenia. Można powiedzieć, że nigdzie nie obchodzi się z niewolnikami lepiej, niż na Kubie. Muszę przecież powiedzieć, iż ta wspaniałośćomyślność przypomina mi trochę wielkość duszy owego człowieka, który, przywłaszczwszy sobie krociowe dochody, wyznacza szcudroliwie tysiąc dwieście franków pensyi ograbionemu. Ale jakże daleko odbiegłem od przedsięwziętego opisu domu; wracajmy do niego corychlej. Żaluzje w oknach mają ruchome deseczki, rozsuwające się odpowiednio do tego czy ktoś sam chce widzieć czy też być widzianym. Okiennece, usuwające się na dzień jak przedziały parawana, na noc umocowują się grubą, żelazną zasuwą, przeciągniętą przez całą ich szerokość. Szyb w oknach niema weale.

Dach jest tu terrassem, na którym siaduje się niekiedy wieczorem. W dzień *azotea* należy do *cradias* suszących tam bieliznę, a przedewszystkiem króluje tu gatunek małego sępa z czerwonym dziobem, zwany *caranclos*, wielce ceniony w kraju, gdzie administracya miejska zdaje się na tego ptaka w kwestyi utrzymania porządku ulic. Dopełnia on też tego, pożerając wszelkiego rodzaju wyrzucane odpadki kuchenne.

Szanowany przez wszystkich, aż nadto ze wszystkimi spoufalcony, ptak ów spędza dnie całe na terrasach, na balkonach, w towarzystwie gołębi, z którymi żyje, jak dobry sąsiad, w przyzwolonej zgodzie. Skończywszy drzemkę, stoi go dzinami całami, gładząc dziobem czerwone swe pióra.

Po przekroczeniu bramy znajdujemy się w obszernym przedsionku; ściany wyłożone malowanymi taflami fajansowymi, które niewątpliwie niedługo pozostałyby na miejscu, gdyby je tylko zobaczył jeden z naszych lubowników tego rodzaju cacek. Nalewo przezroczyście żelazne drzwi, delikatnie wyrobione, łączą salon z przedsiönkiem. Snop zboża, wysokości dwóch metrów, talizman mający ściągać szczęście i dobrobyt, koniecznie musi być na tych drzwiach przedstawionym.

Ruchome żaluzje dają możność zupełnego odosobnienia salonu od przedsionka, oraz pilnowania wchodzących i wychodzących z domu. W tym

to przedsionku i przed otwartą bramą służba gromadzi się wieczorem po skończonej robocie, by ziewać, palić cygara i obmawiać państwa. Czarni siałają na progu lub chodniku, Biali zajmują ławki.

Do sali jadalnej prowadzi obszerna arkada. W Hawanie wszystkie wejścia są kolosalnych rozmiarów i, jeżeli powietrze nie krąży swobodnie, to nie dlatego, aby nie miało którędy przepływać. Okna tam mają szerokość naszych bram, a bramy — tryumfalnych łuków.

We wszystkich niemal domach mieszczkańskich front domu zajmuje ów olbrzymi przedsiönek, równoległy do ulicy, i salon; dalej następuje sala jadalna, ciągnąca się przez całą szerokość domu od strony podwórza, które zawsze prawie otacza galeria sklepiona, w arkady murowana, wsparta na szerokich filarach. Powóz wyprzęga się na ulicy i koń musi być z konieczności przeprowadzonym przez pokój jadalny, *comedor*, do stajni, mieszczącej się w głębi podwórza; poczem powóz, wymyty, wytarty, wytrzepany—wtacza się napowrót do przedsionka, który tu jest zarazem wozownią. Świeży przybysz nie szczędzi zwykłe surowych słów nagany wszystkiemu, co tu spotyka: krytykuje, bo nie mu się nie podoba. Domy mu za niskie, ulice zbyt wąskie, ściany zbyt mozaikowo barwne; jedno za białe, drugie znowu za czarne: i razi go to wszystko, do czego nie przywykł. Po kilku dniach jednak, skoro się rozejrzy i lepiej zastanowi, zrozumie, iż domy wyższe tamowałyby swobodny przewiew powietrza; ulica, im węższa, tem cieniściej, a barwne ściany mniej wzrok rażą. Wówczas też zdarza się nierzadko, że, wpadając z jednej ostateczności w drugą, wynosi on pod niebiosa to, co, niepoznawszy—potępiał.

W dzielnicach handlowych sklepy zajmują całe fronty domów, rzec można, iż od jednych drzwi do drugich niema prawie muru. Jest to rodzaj nieprzerwanych galerii z okratowanymi oknami, przypominających wielce pawilon zbudowany dla dzikich zwierząt przy wejściu do Paryżkiego Ogrodu Botanicznego. Po zamknięciu na noc żelaznych okien przy drzwiach ulice te istotnie wyglądają jak klatki menażeryjne.

Wspomniałem już o malowaniu domów; dla dokładniejszego scharakteryzowania rzeczy przytoczę pełne zdrowego rozsądku zdanie, jakie dziś słyszałem.

— Panie margrabió—mówi *criado de mano*—sądzę, że wypadnie dom odmalować.

— Masz słuszność, uważałem sam wczoraj, że już odrapanie wygląda. Zajmij-że się tem od jutra zaraz.

— Czy mam kolor zmienić, czy też zostawić ten sam?

— Co do tego, idź się zapytaj naszych sąsiadów z przeciwna. Ich to bowiem jedynie obchodzi. Alboż ja widzę z pokoju front mego domu?... a nie zatrzymuję się też, aby się mu przypatrywać. Oni, przeciwnie, mają go ciągle przed oczyma. Kłaniaj się więc ode mnie i zapytaj: jakiej barwy sobie życzą?

Nie jest-że to postępowanie rozumne i grzeczne?

Miasto ma dwa różne zupełnie wyglądy: w dzień drzemie, odrętwiałe, bezsilne, w nocy rusza się, oddycha, żyje. Dopóki słońce świeci, wszystko szczelnie pozamykane, zaledwie od czasu do czasu widzieć można różowy paluszek, odchylający ruchome deszczułki żaluzyi i parę czarnych, wielkich, pełnych blasku oczu, patrzących na przechodniów. Lecz gdy się dzień ma ku schyłkowi, drzwi i okna roztwierają się na oścież, zasłony podnoszą, franki rozsuwają... Dom nie ma wtedy tajemnic dla przechodnia który staje się wtedy świadkiem rodzinnego życia Hawańczyków.

Przedewszystkiem może być widzem wieczornego posiłku.

Ponieważ rodziny zwykle są tam liczne, stół więc bywa duży i suto zastawiony. Gromada Murzynów, Murzynek, i Murzyniąt kręci się około stołu w chmarze łakomych much i mustików. Jeden Murzyn podaje chleb, drugi nalewa wino, zgrabna Murzynka obnosi wodę z lodem w srebrnym dzbanie. Jeden Murzyn zmienia talerze,

drugi obnosi tylko półmiski, a przez ten czas specjalna służba przygotowuje wspaniały *desser*, przy którym europejski łakomec mógłby przesiedzieć przynajmniej dwie godziny.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## ECHA LWOWSKIE.

Lwów 4 Sierpnia 1888 r.

Starsi mieszkańcy większych miast niezaprzeczenie są prawdziwymi przyjaciółmi tak zwanego czasu ogórkowego, który dla nich przedstawia niejako podobiznę odpoczynku wiekiustego—w niebie, naturalnie... Ciepło, cicho, jasno, a gdyby jeszcze choć jaka taka kąpiel, zamiast cuchnących żabińców z zielonym kożuchem, jak u nas, to kanikuła we Lwowie, otoczonym dokoła lasami liściowemi i szpilkowemi, mogłaby być śmiało uważana za pobyt na stacyi klimatycznej dla pozostałych mieszkańców powyższej kategorii. Wielkomijska atoli godność—to niepróżny tytuł i, jak „noblesse oblige“, zmusza wygodę osobistą zawsze do ustąpienia się w tył, gdy o nieco większe sprawy chodzi.

Z wielkich miast wytryskują wielkie projekta i nikt ich obecnie w tej roli zastąpić nie zdoła. Lwów dał tego świetny dowód na dopiero odbytym *Piątym zjeździe lekarzy i przyrodników polskich*. Miasto zapomniało o odpoczynku i, jak niezmordowana maszyna, podejmowało u siebie hojnie i wystawnie drogich gości, nie dając im nawet poznać, że jest miastem w połowie opustoszałym.

Ogromne i nieustające dotąd sprawozdania, tak o zjeździe samym, jak również i o *Wystawie higieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej*, napotykanie niemal w każdym piśmie polskiem, uwalniają nas od podawania o nich szczegółów w *Bluszczu*; ze znamion ogólnych na czele trzeba umieścić chyba to, że, z nic ni znaczącymi wyjątkami, zjazd wraz z wystawą przewyższył pod względem wartości swej, wewnętrznej i zewnętrznej, wszystkie cztery poprzednie, rokując na przyszłość jeszcze świetniejsze popisy. Co prawda, mamy właściwe wyższe naukowe zakłady jak: Akademią Umiejętności w Krakowie i Towarzystwa Naukowe w Paryżu oraz w Poznaniu; ale te nie zdołają nigdy zastąpić takich zjazdów na ochotnika, które sprowadzają jeden z najpożyteczniejszych skutków, mianowicie: zbliżenie się nauki urzędowej z praktyką życia. Nasze ciała naukowe regularnie ogłaszają wyniki swych badań i odkryć, a te nie bywają śledzone przez ogół publiczności z taką chciwością, jak na takim, naprzykład, zjeździe ochotniczym. Nie znamy dzielniejszego środka popularyzowania nauki nad zjazdy w rodzaju niniejszego: one jedne zdołają pomału wciągnąć szersze koła w tajemnicze strefy wiedzy specjalnej, i tym sposobem wytworzą u nas dyletantów, którzy, co prawda, częstokroć swą wrzawą niepotrzebną mogą bałamucić, w większości jednak wypadków nastęrczają sporo materiału do badań poważnych. Cywilizacya stoi po większej części na tej ochotniczej pomocy nieznanych powag, które biorą na się rolę pionierską i niosą jej sztandar daleko poza granice faktów sprawdzonych. Któż zresztą nie zna skutków szerzenia się oświaty? Ona też i tutaj występuje jako zasada, z tem wszakże ograniczeniem, że sięga daleko więcej w głąb wiedzy i bez porównania znakomitsze skutki wydaje przez zetknięcie się z istotą, z rdzeniem nauki.

Była na zjeździe, i serdeczność w przyjęciu i okazałość, aż do wzięcia w niej udziału samego rządu, chociażby przez żywoły niemieckie reprezentowanego. Nie dziw zresztą, że ministerjum i namiestnictwo miały swych przedstawicieli na zjeździe, ale nieco inaczej wypada zapatrywać się na przyjęcie udziału w nim, jak również i w wystawie, tutejszej wojskowości. Za

pewne, ostatni ten tryumf naszej dumy narodowej mamy zawdzięczać przede wszystkim uprzejmości głównie kommanderującego, ks. Württembergiego, którego cała nasza ludność ma za swego prawdziwego przyjaciela i protektora. Cieszy się też on tu miłością powszechną, jak żaden z jego poprzedników.

Od uroczystego powitania na kolei przez prezydenta miasta, p. Mochnackiego, oraz zagajenia posiedzeń zjazdu przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, wszędzie brzmiała jedna nuta, która tak mile głaszcze ucho każdego niezwyrodniałego człowieka. Czy-to na świetnym bankiecie w ratuszu, na którym był również i ks. Württembergi wraz ze światłym szefem sztabu, hr. Orsinim-Rosenbergiem i namiestnikiem, p. Zaleskim; czy też w przyjęciu w Kole Literackim, zawsze czuć było gorące uczucie lwowskie, takt i obycie się wielkoświatowe w podejmowaniu dostojnych gości przez miasto. Cywilizacja społeczna wynalazła wyższy rodzaj gościnności—narodowej i międzynarodowej, która podejmuje daleko okazalej, niż prywatna, ale jest też i bezporównania trudniejszą; Lwów wszakże na tem polu nie da się nikomu p. ześcić, do czego mu dopomaga cudownie nasza rodzima gościnność, przechowywana tutaj w tradycji gminy, jak może nigdzie na całym obszarze kraju. Skutki tego widać było w mowach swobodnych a zastoso- wanych do chwili danej, w których ciepło serdeczne zlewało się z prawdą rzetelną, jakby w życiu rodzinnym. W każdym miejscu wypowiadano obok powitalnych słów i rezultaty własnej pracy, oraz podstawy moralne, na jakich praca ta spoczywa. Koło literackie bardzo słusznie pochłubiło się tem, że Kraszewski oddał pod jego nadzór, wspólny z Wydziałem Krajowym, wydawnictwo „Macierzy Polskiej“; dodać tu musimy jednak dla przyszłego historyka, jak się rzecz naprawdę miała. Pierwotnie Kraszewski myślał o ufundowaniu Macierzy w Krakowie, ale gdy jednocześnie powstawało i Koło Literackie tutejsze, założyciele jego pierwotni, do których czuł żywą sympatya, nakłonili go, aby, zmieniwszy swój zamiar, fundacyę założyć we Lwowie; na co też on ostatecznie się zgodził. Ci, co słuchali przemówienia o tem prezesa Koła lit., który, nie należąc do założycieli, nieświadom był tego szczegółu, mogli byli wynieść przekonanie, jakoby sam Kraszewski, bez niczyich zabiegów, upatrzył sobie i wybrał tutejsze Koło Literackie. Otóż ten szczegół może im posłużyć do wyjaśnienia dokładnego stosunku Macierzy do Koła.

Nietylko tu, w naszym chrobackim gnieźdzu, umiano podejmować gości uczonych: to samo działo się i wszędzie na prowincyi, we Wschodniej Galicyi, która, nietylko ciałem, ale i całą duszą połączona jest ze swą stolicą. Kto chce przekonać się o tem, niech przyjedzie tu do nas podczas jakiej uroczystości publicznej; a wtedy przekona się, że między Lwowem a prowincjonalnymi miastami żadnej niema różnicy, chyba tylko w bogactwie przyjęcia, okazałości i natężeniu inteligencji miejscowej.

Jeżeli główny cel zjazdu spoczywał w odczytach i rozprawach po sekcjach, o których pragnący powziąć dokładną wiadomość, mogą się dowiedzieć z „Dziennika V zjazdu lekarzy i przyrodników polskich“, to dla większej publiczności tkwił on w Wystawie higieniczno-lekarskiej i dydaktyczno-przyrodniczej. Wystawa ta—był to właściwie dodatek do zjazdu; lecz zwiedzający garnęli się do niego liczniej, gdyż widzieli w nim uznysłowioną wydajność twórczości naukowej własnego narodu. Trudno odmówić słuszności podobnemu poglądowi. Jeżeli jakościowo nie mogła publiczność oceniać prawdziwej wartości przedmiotów wystawionych, to ilość ich musiała ją napoć dobrą otuchą na przyszłość i wiarą w potęgę zbiorowego geniuszu, który o głódzie i chłodzie, a częstokroć i w poniewierce, dalej prowadzi swe dzieło zbawcze, nietylko na użytek własny, ale potrosze i dla całej ludzkości. Na 283 wystawców mieliśmy wszystkich 47 cudzoziemców, i dodać to jeszcze wypadła, że bardzo mało było naśladowców, lecz większa część okazała znamiona oryginalności dodatniej

Znakomita ilość medali, dyplomów i listów pochwalnych, rozdanych tym naszym wynalazcom, świadczy o tem dowodnie; choć nie chcemy zaprzeczać i temu, że tu i owdzie mógł zajść fakt zbytnej względności, ale biorąc rzecz ogólnie, odznaki te mają wartość rzetelną, nietylko dla nas, lecz i dla zagranicy.

Copravda, wynalazki te nie przekraczają mierzoności; twórczość ich zamknięta w kole poprawek i ulepszeń, ale zawsze widać w nich rękę i głowę potomków Kopernika. Czy weźmiemy taki *Phyophon* prof. dra Ciesielskiego, czy *model apparatusu do płukania kanałów inżyniera Machana*, czy *plastry smarowane p.p. Trzczińskiego i Urbanowicza*, czy zresztą *Ekstrakty zupowe*, pana Ruckera—we wszystkim widać rozwałkę i praktyczność, uderzającą na pierwszy rzut oka. W niektórych zbiorach i zestawieniach panuje nietylko pomysłowość, lecz nietylko pracowitość, jak np. w kolekcji bakteryologicznej dra Bujwida, w zbiorze antropologiczno - etnograficznym prof. dra J. Kopernickiego i w. i. Nie czemu innemu, jeno ubóstwu naszemu materyalnemu, trzeba przypisać to, że w takich działach, jak np. narzędzi matematycznych lub chirurgicznych, musieliśmy świecić pustkami. Tosamo widać było i w dziale elektrotechniki oraz aeronautyki, wcale nie dotykanych, jak widać, przez naszą naukę. W dziale najmodniejszych pomysłów higieniczno - sanitarnych wystąpił wszystkiego jeden model pieca do palenia zwłok ludzkich inżynierów: Dunaja i Adamczewskiego. Słowem: brak środków materyalnych powstrzymuje naszą wynalazczość i zakres badań, które niezaprzeczenie przy odmiennych warunkach wydałyby może tesame wyniki, co i na Zachodzie... Rzecz dziwna: ofiarności nasza prywatna, z nieznaczącymi wyjątkami, jak Mianowskiego lub Kochmana, cała zwraca się w kierunku szkolnictwa i dobroczynności, a w popieraniu nauki, literatury i sztuki, wcale jej nie widać. Buckle powiedział, że cała cywilizacja spoczywa na wielkich odkryciach i wynalazkach, a my dodamy: i na geniuszach, oraz talentach, które do nich ludzkość prowadzi. Ogół nietylko ma obowiązek czcić swe wielkości, ale, jeżeli nie jest zepsutym, to musi nieść im swe szelągi—choćby wdowie.

Rzutkość, czyli t. z. dar inicjatywy, jest to czynnik najwyższy w pracy społecznej; on też ją prowadzi i prawdziwą wartość jej oznacza. Musieliśmy zacząć od tego określnika, przechodząc do roli sprawozdawcy, mającego wydać sąd o zjeździe i wystawie w zakresie dotyczącym działalności lub potrzeb kobiety. Najpobłażliwszy nawet sąd wypadnie tu dla naszej kobiety arcy-niepochlebnie. Na zjeździe nie figurowała ani jedna kobieta, a na wystawie, wszystkicho jedna za kefir dostała list pochwalny, p. Klaudya Sigalina cudzoziemka.—Jak wytlómaczyć sobie to smutne zjawisko? Wszak nie brak nam gorliwych i światłych nauczycielek, inteligentnych i przemyślnych gospodyń, lubowniczek przyrodoznawstwa i kultury?—Oto kobiety nasze nie chcą robić prób wyrobienia w sobie daru inicjatywy na polu naukowym; zapominają, że *oser c'est tout faire*, i następnie, że nie trzeba oglądać się na śmieszki i zgrzybiałych rutynistów, ale iśćz przebojem tam, gdzie występuje cel ogólny, nie jednostkowy. Kobiety wychowują narody t. j. ludzi, składających narody; czy jednak zdołają utrzymać się na tem stanowisku wobec nowożytnego prądu naukowego, jeżeli się z nim stykać nie będą?—to wielkie pytanie. Musi kobieta tu wejść koniecznie na pole spółubiegania się, a za tem i spółpracownictwa, z mężczyzną; inaczej bowiem pryncie pomiędzy nimi węzeł żywy cywilizacyjny i cały urok kobiecy zniknie w podniosłym znaczeniu, a pozostanie tylko sam cielesny, wiadomo jak nakrótka wystarczający.

Wzywając kobietę naszą do konkurencyi, nie mamy wcale na myśli takiej konkurencyi, jaką tu nam piekarze wyprawili. Wiesz o „strike“ 400 naszych chlebo-pieków była zanadto skwapliwie szerzoną po dziennikach, abyśmy potrzebowali tu jeszcze opowiadać dzieje tego rozruchu. Jedna rzecz uderza w tej całej *piekaromachii*: oto sposób w jaki się *strike* odbył i roz-

głos, jaki mu nadano. Krucjata więc ta o szelągi w naszym obecnym położeniu podjęta została z podszeptów zewnętrznych, które wnet biedaków strejkujących porzuciły na pastwę losu, gdy już hałasu dosyć narobili. Podżegaczom zewnętrznym o nic więcej nie chodziło, a poczciwi nasi piekarczyści padli ofiarą ich przebiegłości zdradzieckiej. Usiłowano ogłosić nas za „niepoprawnych“, ale to wszystko pękło, jak bańka mydlana, wobec faktu, że wystarczyło zaledwie kilku policyantów, by cały zbuntowany legion zza miasta odprowadzić „w porządku“ na policyę... Publiczność była całkiem obojętną lub brała z humorystycznej strony naszą piekaromachią, co mamy jej za złe; podobne bowiem sprawy w ucywilizowanym społeczeństwie powinny żywy interes budzić i nie mogą być wydawane na pastwę losu, a tembardziej śmiechu.

Umiejętność wciągania publiczności do spraw publicznych jest zadaniem nader ważnem, które powoli zaczynamy pojmować. Nowoczesna młodzież, acz niepotrzebnie zwrot ten korzystny znacząca jakimś wyskokiem przypominającym prozopopecte stylowe, robi przeciw swoje i, zlazłszy z wyżyn katedrowej mądrości, wchodzi w powszechność narodową, w potoczne jej życie. Dotąd objawy poznawania swojskiego gruntu ograniczały się tylko na męskiej połowie; obecnie przychodzi nam zaznaczyć pocieszający fakt, że i kobiece siły młodzieńcze stają tu do spółpracownictwa. Pod przewodnictwem znanej i powszechnie szanowanej panny Antoniny Machezyńskiej, starszej nauczycielki żeńskiego Seminarjum Nauczycielskiego we Lwowie, zawiązała się, właśnie w myśl powyższą, pierwsza wycieczka panien po kraju, najprzód do Krakowa, gdzie podróżniczki były nader uprzejmie podejmowane. Sądzi my, że podobne wędrówki pannieńskie po kraju rodzinnym są jednym ze środków obudzenia świadomości sił własnych wna- szszej kobiecie i podniesienia jej pojęć do wysokości zadań chwili obecnej. Warto, żeby przykład panny Machezyńskiej znalazł większe zastosowanie, bo może wydać dobre skutki na przyszłość.

Erywał.

## Kronika działalności kobiecej.

— Pozwolenie rządowe, dające kobietom przy- stęp do zawodu aptekarskiego przy odpowiednich kwalifikacjach naukowych, już poruszyło umysły i *Korrespondent Plocki* donosi, iż kilka młodych panien ze stron tamtych zamierza oddać się zawodowi aptekarskiemu. Dozwołonem też zostało przyjmowanie kobiet na uczniów aptekarskich, przeciw po przedstawieniu świadectwa, posiadanej nauki, któreaby, obok znajomości języka łacińskiego, odpowiadała nauce czterech klas gimnazyjów męzkich, z warunkiem, aby po przebyciu praktycznego uzdolnienia się na farmaceutów w aptekach, złożyły kandydatki we właściwych urzędach lekarskich wymagany examen na pomocnika aptekarskiego i prowizora, z otrzymaniem tychże stopni. Odnosny re- skrypt zastrzegł jeszcze, aby nauka potrzebna tutaj była nabywaną przez kobiety drogą prywatną, a zarazem, aby apteki przyjmujące uczen- nice nie trzymały zarazem uczniów. Powstać mają wkrótce farmaceutyczne kursa dla kobiet i departament medycyny opracowuje już programat wykładów.

We Włoszech, gdzie kobieta otrzymała także dostęp do zawodu farmaceutycznego, minister- yum spraw wewnętrznych usiłuje przy wy- dawaniu patentów tak rzeczy urządzać, aby apteki utrzymywane przez kobiety głównie mie- ściły się po wsiach, gdzie zwykle łączy się z za- wodem lekarki chorób kobiecych, a nawet doktorki medycyny, za- pe wniając w ten sposób dostateczne już podstawy bytu praktykującym te zawody ko- bietom. W miastach, przy wielkiej konkurencyi

ze strony mężczyzny, dobiecie się potrzebnej klienteli jest trudnem, a zajęcie tych pozycyi w głębi kraju, nietylko ułatwia powodzenie, ale staje się zasługą obywatelską użytecznej pracy na posterunku niezajętym. Apteka we wsi mieszczącej kościół parafialny, z urzędową zarazem poradą lekarską, zapewniłaby niezawodnie przyzwoite utrzymanie, przynosząc w dodatku słodkie uczucie spełniania dzieła dobroczynnego, co kobiecie naszej uśmiechało się zawsze przez szlachetne jej uczucie miłości ogółu swego — przez uczucie szlachetnej idealności, którą zawsze nosiła w piersi. Jaki węzeł z ludem ubogim i ciemnym — ile dobrego do spełnienia!...

— P. Zofia Kalenowska, wdowa po urzędniku drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, musiała po śmierci rozdzielić się z trójgiem dzieci i, umieściwszy je pod odpowiednią opieką w Warszawie, przyjęła miejsce nauczycielki domowej aż w Tyflisie. Rozejrzawszy się w stosunkach miejscowych i potrzebując większego zarobku na edukacją dzieci, odważna ta pani została komissantką handlową, z najlepszym skutkiem. Obecnie załatwia zlecenia kilkanastu poważnych firm handlowych kaukaskich i odeskich, z ramienia których przybywa często do Warszawy dla obstalunków i zakupów. Za granicą kobiety już od lat kilku są kommissantkami, ale głównie w przedmiocie ubiorów kobiecych.

— Dla pań zajmujących się ogrodnictwem pożyteczną jest wiadomość, jakich dostaw potrzebuje Warszawska Spółka Ogrodnicza: ananasów najmniej 120 pudów, niedojrzałych brzoskwiń 235 pudów, dereniu 10 p., fig 60 p., niedojrzałych gruszek „królewskich“ 560 p. niedojrzałych jedwabnic 100 p., gruszek jesiennych 200 p., zimowych 500 p., jabłek letnich (pomiędzy temi wiele papierówek) 800 p., antonówek 5.000 do 6.000 p., zimowych 300 p., rajszych jabłuszek 50 p., jeryn dojrzałych 30 p., jarzębiny od 15 do 20 p., kwaśnicy (berberysu) 8 — 10 p., malin 500 p., melonów niedojrzałych 200 p., dojrzałych 50, moreli 5.300 p., orzechów włoskich 300 p., głogu 40 p., śliwek francuskich dojrzałych 300 p., niedojrzałych 200 p., renklod dojrzałych 550 p., niedojrzałych 850 p., węgierki dojrzałych 400 p., lutówek 250 p., wiśni czarnych 300 p., lubaszek 3 p., jabłek polnych 3 pudy.

— Na uniwersytecie genewskim ukończyły studia dwie Polki: p. Wanda Cezaryna Wojnarowska, ze stopniem licencyjatki nauk społecznych (licenciée ès sciences sociales) i p. Formińska, ze stopniem bakalarskim z nauk przyrodniczych (baccalauréat ès sciences). Examina roczne zdały z odznaczeniem pp.: Zarębianka, Radłowska i Szczawińska. Z końcem roku było zapisanych na tym uniwersytecie Polek 16.

— W Paryżu złożyło pomyślnie półroczne examina 6 Polek, studentek medycyny: pp. Lipińska, Pobujewska, Helena Finkelstein, Olszewska, Sielicka, i Feinkind.

— P. Anna Wolska znana czytelnikom pisma naszego, córka Kalixta Wolskiego, urodzona i wychowana na obczyźnie, autorka dzieł kilku, powzięła myśl założenia międzynarodowej biblioteki dzieł kobiecych. Wzywa ona autorki do nadsyłania prac swoich dla możliwego zgromadzenia literackich płodów kobiecego umysłu. W odezwie podany jest adres skarbnika stowarzyszenia: M. Steiner-Dollfus. „Paris, rue des Jeuneurs Nr 26.“ Na liście współzałożycielek biblioteki, znajduje się Królowa Rumuńska.

— Leokadya Bitnai, węgierska literatka, ogłaszając w „Tygodniku dla kobiet“, wychodzącym w Peszcie, wrażenia z podróży po Włoszech, poświęca serdeczne wspomnienie pamięci hr. Jadwigi Platerówny, córki hr. Stanisława Zyberg-

Platera, która przed paru laty utonęła w Wenecji. Przyjaciółka przedstawia ją jako wzór wszystkich szlachetnych cnót kobiety: gorąca miłość rzeczy swoich, tkliwość serca na niedolę ludzką i wielkie miłosierdzie, którego czyny, pełnione w tajemnicy, koły wiele łez niedoli.

— Order legii honorowej otrzymała M-me Drouan, wiwandyerka 59-go pułku piechoty. Brała ona udział jako markietanka w wojnach z 1865, 1867 i 1870/1 i odznaczyła się w nich poświęceniem w pielęgnowaniu chorych i rannych żołnierzy. Po Siostrach Miłosierdzia najwięcej kawalererek orderu Legii Honorowej jest z pomiędzy wiwandyerki. Są to zwykle żony służących w szeregach armii żołnierzy, które dzielą z nimi losy wojen w dalekich od ojczyzny stronach. Obok miłości męża kobiety te ożywia często szlachetne uczucie miłości Francji.

— Pisma niemieckie wysoko podnoszą tę zaletę księżniczki Ireny Heskiej, obecnie zaślubionej księciu Henrykowi Pruskiemu, bratu Cesarza Niemieckiego, że umie wszystko to, co każda dobra gospodyni i naczelniczka rodziny ze sfer średnich umieć powinna: umie szyć, krajać suknie i bieliznę, zna się na kuchni i wewnątrz gospodarstwie tak, że wie, jaki być może, w stosunku do skali prowadzonego życia, wydatek domowy w pieniądzu i zapasach. Tak księżna Irena, jak i jej siostry były wychowywane w ten sposób przez matkę swoją, córkę królowej Wiktorji a siostrą nieszczęśliwej cesarzowej Wiktorji, i młoda księżna, podobnie jak dostojna jej ciotka, ma łączyć z praktycznym tem uzdolnieniem w zakresie gospodarstwa kobiecego wyższe wykształcenie umysłu i zamiłowanie w sztuce i literaturze. Historia jest przedmiotem szczególnie ją zajmującym; studyuje ją też z zajęciem. Można powiedzieć, że księżniczki angielskie wchodzące w domy panujące w Niemczech przenoszą do Niemiec ideę tego podnioslejszego w rodzinie i społeczeństwie stanowiska kobiety, jakiego nie zna Niemka, grubiańsko traktowana przez mężczyznę i w domu, w rodzinie nieznająca, poza gospodarstwem, nic. Zaciętość Bismarcka przeciw cesarzowej Wiktorji ma też i w tem coś ze źródła swego. Despota ogólnie, nie może tem więcej znieść, że kobieta może nie być biernością.

— Irlandzka wystawa przemysłu, urządzona w Londynie, zwróciła uwagę ludzi myślących na szeroki zakres domowego przemysłu kobiety irlandzkiej i wielkiego uzdolnienia w tym kierunku wieśniaczek i klas niezamożnych, nawet wstanach wyższych. Koronkarstwo właściwe, koronkarstwo szydełkowe, którego wyroby noszą nazwę koronek irlandzkich, bo gatunek ten z tamąd pochodzi; przędzenie ręczne, w którego zakres wchodzi nieć koronkowa; wyrób ręczny najdoskonalszego płótna, cen wprawdzie bardzo wysokich, ale którego doskonałość i siła przewyższa też fabryczne płótna najlepszych fabryk; hafty, szycie ręczne, wyroby ręczne pończoch — wszystko wykazało się doskonałością nietylko jako wyrób. Pisma, nie dublińskie tylko, ale i londyńskie, wykazują, że ten to przemysł domowy pozwolił Irlandji nie wymrzeć głodem i wśród starć nieszczęśliwego położenia utrzymać się Irlandczykom przy tej resztkę ziemi, jaką okrutny zwycięzca jej zostawił. Wielka w tem zasługa jest zakonnice katolickich i irlandzkiego pochodzenia kobiet z dworów, z których część znaczna bardzo wiele przykładała się wyrobami swego domowego przemysłu do utrzymania rodziny i zarazem była w tym kierunku nauczycielką kobiety z ludu. Przytaczamy tu w oryginale zdanie wypowiedziane w tym przedmiocie przez czasopismo, nie irlandzkie nawet, ale czysto angielskie:

„Wealth women und women without money, but with skilled fingers, have united together to pluck from starvation, ignorance and listlessness perishing thousands by teaching them how to work and earn wages.“ (Kobiety bogate i kobiety nieposiadające pieniędzy, ale mające zręczne palce połączyły się razem, aby wyrwać głodowej śmierci, ciemności i gnuśności tysiące, na zgubę dane ucząc je jak pracować i zdobywać zarobek).

„I mężczyźni — pisze dalej korespondent — przyłożyli się potężnie do zorganizowania wiejskiej pracy domowego przemysłu, a popęd pierwszy, pierwsze usiłowanie wskrzeszenia dawnego przemysłu po chatach i dworach, wyszło od kobiet.“

— W Stanach Zjednoczonych uchwalono wprowadzenie kobiet do policji miejskiej. Na wszystkich stacyach kolei żelaznych i w tym podobnych miejscach będą pełnił służbę obok zwykłych policyantów, policyantki: „police-matrons.“ Im oddawane zostaną pod straż kobiety aresztowane; w większych miastach będą urządzone zupełnie oddzielne miejsca aresztów dla kobiet.

**Ko mitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem** podaje do wiadomości pp. artystów miejscowych, iż na zasadzie odezwy Biura oddziału ruskiego Wystawy Powszechnej, odbyć się mającej w Paryżu w r. 1889, gotów jest pośredniczyć w przesyłce dzieł sztuki na pomienioną wystawę, z zastrzeżeniem ścisłego zastosowania się życzących wziąć udział w takowej, do wydanych i wydać się jeszcze mogących w tym względzie przepisów.

Na Wystawę posłane być mogą następujące dzieła sztuki, wykonane po 1 Maja 1878 r.: 1) Obrazy olejne; 2) Rysunki, akwarelle, pastele, miniatury, emalie, malowania na porcelanie, kartony do malowideł na szkle (okiennych), z wyjątkiem przedmiotów wyłącznie ornamentacyjnych; 3) Rzeźba; 4) Medalierstwo; 5) Architektura; 6) Rytownictwo; 7) Litografia.

*Uwaga:* Na wystawę nie będą przyjmowane: kopie wszelkiego rodzaju, obrazy albo rysunki bez ram, i rzeźby z gliny niepalonej.

Kwalifikować będzie do wysyłki dostarczone dzieła Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, zaś ostateczne przyjęcie na Wystawę zakwalifikowanych i przesłanych przez Komitet dzieł zależeć będzie od uchwały specjalnej Komissji w Paryżu, w której uczestniczyć będzie, jako członek takowej, także i delegat Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem. Wszelkie wydatki związane z Wystawą przyjętych dzieł sztuki przyjmuje na siebie wzmiankowane wyżej Biuro oddziału ruskiego wystawy powszechnej.

Pragnący wziąć udział w pomienionej Wystawie winni najpóźniej do d. 1 Października r. b. nadesłać pod adresem Komitetu Towarzystwa deklaracją, zawierającą tytuł dzieła, cenę w rublach, wymiary w metrach (łącznie z oprawą), imię i nazwisko autora i jego dokładny adres, — zaś same dzieła dostarczyć winni do lokalu Towarzystwa najpóźniej do d. 1 Lutego 1889 roku.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Wybor Aliny**, przez Mrs. Alexander.

**TREŚĆ:** Wychowanie moralne, przez Waldemara Osterloff'a. — **Życie i praca**, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — **Na Krasnym Dworze**, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — **Nowiny paryzkie**. — **W Antyllach**, podróże, (dalszy ciąg), przez Quatrelles'a. — **Echa Lwowskie**. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Ogłoszenie**.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Wybor Aliny**, przez Mrs. Alexander. — **Przegląd mód**. — 48 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycyą stołu**.